

Teresa WÓJCICKA

5/894

© ARCHIWUM WSCHODNIE RELACJA

Urodziłam się 6.05.1930 roku w Jarosławiczach, osadzie wojskowej na Wołyniu, w powiecie dubnieńskim. Ojciec nazywał się Franciszek Golba, matka Jadwiga, miałam pięcioro rodzeństwa: brata Adama, siostry Helenę, Eleonorę, Michalinę i Joannę. Jarosławicze to była duża wieś zamieszkała w większości przez ludność ukraińską. Ojciec po wojnie polsko-bolszewickiej otrzymał 12 hektarów ziemi wraz z zabudowaniami, tuż przed wojną wybudował nowy dom. Oprócz nas było jeszcze 6 rodzin osadniczych, które, podobnie jak i my, przejęły ziemię z rozparcelowanego majątku.

W nocy 17 września słyszeliśmy huk samochodów na drodze łuckiej (ok. 4 km od naszej osady). Do nas Rosjanie trafili jakiś czas później. Żołnierze rosyjscy wyglądali bardzo nędźnie. W listopadzie zostaliśmy "rozkułaczeni". Odebrano nam cały dobytek inwentarz, maszyny, zboże. Wśród rabujących byli Ukraińcy. "Jęza to jedyna szykana, jaka nas spotkała.

10 lutego 1940 wcześniej rano, jeszcze o zmroku, przyszło do nas wojsko w szarych mundurach i kazano nam się zbierać do drogi. To samo działo się u naszych sąsiadów. Już po świcie przyjechały podwozy. Był silny mróz, leżało dużo śniegu. Saniami dowiezino nas do stacji kolejowej w Ostrorogu. Było tam już dużo podobnych rodzin. Ulokowano nas w pociągu towarowym. Razem z nami w wagonie jechały jeszcze 3 rodziny. Po południu tego samego dnia pociąg ruszył. W nocy przekroczyliśmy granicę Polski na Zbruczu, ludzie wtedy płakali, śpiewali pieśni religijne. W drodze dostawaliśmy wrzątek na herbatę, zupę, chleb. Posiłki wiązały się z postojami na większych stacjach.

Po miesiącu podróży dojechalismy do miasta Kotłas. Tam kazano nam wysiadać. Część bagaży była złożona w osobnym wagonie, przy ich odbieraniu miały miejsce wśród Polaków liczne kradzieże. Zakwaterowano nas w dużym budynku, chyba szkolnym, w którym moja rodzina otrzymała małe, osobne pomieszczenie. Z Kotłagu, po kilkudniowym pobycie powieziono nas saniami po zamrożonej rzece Wyczegdzie (dopływ Dźwiny). Jachalismy za dnia, na noc zatrzymując się w przydrożnych wsiach. Przyjechalismy do osady leśnej położonej 20 km od miasta Koźmin.

Osada była zamieszkała przez Rosjan pracujących w kółchozie i przy wyrębie lasu. Baraki, w których zamieszkalismy były niedawno wybudowane. W każdym baraku mieszkały 4 rodziny, w oddziel-

nych izbach. Po przyjeździe ojciec poszedł na zebranie wszystkich Polaków, na którym powiedziano im, jakie są ich obowiązki. Skierowano ojca do pracy przy wyrębie lasu.

W osadzie po raz pierwszy w życiu zetknęłam się z kolejkami po żywność. Stożówka kołchozu prowadziła też sprzedaż dań na wynos. Ludzie ustawiali się w kolejkach jeszcze poprzedniego dnia wieczorem. Na noc zostawiali garnki na swoich miejscach w kolejce. Bywało, że ktoś złośliwy przychodził w nocy i przestawiał garnki. Wybuchary wówczas krótnie. Nas nie było stać na kupno żywności w stożówce. Jakiś czas po przyjeździe matka poszła do pracy w kołchozie. Pracowała przy segregowaniu ziemniaków w magazynach. Matce udało się czasem wynieść trochę ziemniaków, które tarła i gotowała na wodzie. Jedliśmy je z chlebem. To było nasze jedzenie dzień w dzień. Nie widziałam wogóle tłuszczu ani mięsa. Ojciec napisał list do księdza w Jarosławiczach. Dostaliśmy od niego dwie paczki ze słoniną, kaszą i mąką. Matka chodziła pieszo 20 km do Koźmina, gdzie na targu wymieniała nasz dobytek na żywność. Dzieci polskie chodziły do szkoły rosyjskiej.

Zima 40 roku była bardzo ciężka. Jeszcze w maju leżał śnieg. Wiosna była gwałtowna i krótka, równie krótkie było lato. Zbieraliśmy wówczas w lesie jagody i grzyby. Miejscowi Rosjanie kisili rydze w dużych beczkach na zimę, my niestety nie mieliśmy beczek.

W zimie z 1940 na 1941 ubranie ojca zaczęło się rozsypywać, podarły mu się buty. Ojciec zachorował. Musiało to być bardzo poważne, bo zabrano go do miejscowego szpitala. Ja byłam ostatnią osobą z rodziny, która widziała ojca przy życiu. 20 stycznia 1941 w nocy ~~kwaz~~ przywiezione do domu zmarłego ojca. ^Podejrzewam, że przyczyna zgonu ojca była inna.

W sierpniu 1941 Polakom zezwolono na wyjazd z tego osiedla. Niebawem wyjechali wszyscy, oprócz mojej rodziny. Po śmierci ojca komendant osiedla zajął się nami serdecznie, udzielał nam pomocy. Brat poszedł do pracy w lesie. Nie pracował przy niebezpiecznym wyrębie drzew, ale ociesywał powalone drzewa z konarów. Matka sprzątała w miejscowym hotelu, od gości hotelowych dostawała niekiedy chleb. Ja ze starszą siostrą pracowałam w kołchozie przy wypasie owiec i świń. Matka dostawała za naszą pracę mleko.

Osiedle opuściliśmy 30 września. Padał już topniejący śnieg. W Koźminie czekaliśmy na statek, który miał nas zawieźć do Kot-

łazu. Kilka dni mieszkaliśmy w szopie niedaleko przystani. Po kilku dniach przypłynął statek, którym pokonaliśmy do Kotłażu. Było tam bardzo dużo Polaków oczekujących na transport na Południe. Przez 2 tygodnie koczowaliśmy w szczerym polu, przy rosnącym zimnie, zasypywani śniegiem. Okradziono nas wówczas z rzeczy pozostałych po ojcu i z dokumentów. Byliśmy bez pieniędzy. W oczekiwaniu na pociąg przenieśliśmy się do pobliskiego posesiożku. Zamieszkaliśmy w jednoizbowym baraku. W kącie stał piec, który wogóle nie grzał, a za to dymił; byliśmy dosłownie uwędzeni. Mieszkaliśmy tam do grudnia. Wówczas brat dowiedział się, że mają być transporty. W Kotłazie mieszkaliśmy w dużym, nieogrzewanym baraku. Zmieścili się w nim tylko kobiety i dzieci, męże czynni zaś wchodzili tylko aby się ogrzać. Wchodzili tak i wychodzili kołem, tak że przez całą noc było słycać ich kroki.

Przed Bożym Narodzeniem dostaliśmy się do wagonów. Pociąg jechał do Czelabińska. Była straszna zima, wagon był zamarznęty, nie dostawaliśmy nic do jedzenia. Od czasu do czasu pociąg stawał na stacji i wówczas można było kupić wrzątek i chleb. Czelabinsk nas nie przyjął i pociąg skierowano do Azji Średniej. Przywieziono nas do Sarasja w Uzbekistanie. Na stacji matka oddała mnie do jednej kobiety, która potrzebowała niańki dla swoich dzieci. Była ona urzędniczką, podobnie jak jej mąż-Uzbek. Matka z resztą rodzeństwa pojechała do kołchozu. Mnie wówczas powodziło się bardzo dobrze, miałam pod dostatkiem chleba, mleka i mięsa. W Sarasja znajdowała się delegatura rządu polskiego, rozdzielano pomoc UNR-owską. Po jakimś czasie przyjechała do mnie matka. Dowiedziałam się o śmierci dwóch sióstr. Obie zmarły na dezynterię. Chciałam wracać do rodziny i matka zabrała mnie ze sobą.

Warunki w kołchozie były straszne. Mieszkaliśmy w lepiance bez drzwi i okien. Brak było mebli. W kącie leżała słoma, na której spaliśmy, był też żelazny piec do gotowania posiłków. Brat pracował przy koniach. Dostawaliśmy jakąś żywność z kołchozu, nie było maki ani chleba. Uzbeki piekli sobie placki "lepioszki", którymi czasem nas częstowali. Brat ze stajni przynosił bawełniany makuch, jedliśmy to podgrzane zamiast chleba. W okolicznych artezyjkach było dużo żółwi, które dawały nam mięso i jaj. Budziło to obrzydzenie u Uzbeków. W tym kołchozie byliśmy do maja 1942 r.

Matka dowiedziała się, że powstają polskie domy dziecka i pojechaliśmy do Chanaka. Była nas już wtedy tylko czwórka dzieci.
W

W Chanaka umarła moja najstarsza siostra. Przyczyną śmierci była dezynteria, siostra była całkiem wyschnięta, wyglądała jakby była w Oświęcimiu. Na tę samą chorobę zachorowała Michalina, która zmarła w sierpniu 42.

W domu dziecka byłem z bratem, matka pracowała jako sprzątaczką w szkole. Nasz dom dziecka miał zostać przerzucony do Iranu, dyrektor przygotowywał nas do wyjazdu, ale granica została zamknięta i nie zdążyliśmy wyjechać. W styczniu 1943 zostaliśmy przeniesieni do Koktarzy, a następnie do Stalinabadu (Duszanbe). Wówczas rozstaliśmy się z matką, która pojechała do Leninabadu. Dostawaliśmy od niej listy. Wszyscy chorowaliśmy wówczas na malarie. W 1945 roku brat dostał wiadomość o śmierci matki. Pamiętam, że w trakcie zabawy podszedł do mnie brat i powiedział: "Nie tańcz, bo jest smutna wiadomość. Zmarła mama".

Nasz dom dziecka liczył około 200 dzieci. Personel stanowili początkowo Rosjanie, zastąpieni później przez Polaków. Uczęszczaaliśmy do polskiej szkoły, ale uczyliśmy się z rosyjskich podręczników, z czasem zaczęły do nas trafiać polskie książki, Mickiewicz.

Do Polski wyjechaliśmy w maju 1946. Przyjechaliśmy do Warszawy. Stamtąd skierowano nas do Gostymina, potem do Wrocławia, do domu dziecka. Uczęszczałam wówczas do Liceum Spółdzielczego, mieszkalam u Sióstr Urszulanek. Naukę i mieszkanie opłacał dom dziecka. W 1952 wyszłam za mąż, mam dwóch synów. Ukończyłam studia administracyjne, pracuję w Polskiej Akademii Nauk.

W Państwowym Domu Dziecka Nr 25 zetknęłam się z następującymi osobami:

Kowalska Maria	ul. Benedyktyńska 21/24	tel. 21-80-16
Cwikłowski		
Walasek		
Królikowski Zygmunt	Smélice k/ Rawicza	
Rybka Władysław	ul. Czarnieckiego 38	
Czarniak		
Furman Helena	ojciec zginął w Katyniu	
Sznabel		
Klugman		
Umecka Bronisława		
Umecki Marian		
Lewi Eugenia		
Garfingel		

Hercman

Szpilman

Gardocka spod łomży

Norkiewicz

Błaszczak

Zygar Maria

Karpowicz

Sliwiński

Kyczak Maria